

DOMOSŁAWA.

ZAPUSTY,

obrazek sceniczny w 3-ech odsłonach.



WARSZAWA — Księgarnia Polska — 1914.

WARSZAWA
Warecka № 15

OSOBY:

ANTONIOWA,
BASIA, jej siostrzenica,
MŁYNARZ,
ANDRZEJ,
STANISŁAW,

HANKA,	}	dziewczęta,
KASIA,		
JÓZKA,		

DYABEL,	}	chłopcy — przebrańcy.
ŻYDEK,		
KOŃ,		
BOCIAN,		
BABA.		

Dziewczęta, chłopcy, dzieci, chodzące
za przebrańcami.

Izba w chacie Basinej: Antoniowa zajęta miesieniem ciasta w dzieży, stawia je na piec, okrywa ciepło, aby dobrze rosło, otrzepuje ręce, odpasuje zamączony fartuch, poprawia ubranie, ściera ławę, poczem woła bardzo głośno, z naciśkiem na ostatniej zgłosce.

ANTONIOWA.

— Basia! Baśka! Basiuchna!

BASIA (*wchodząc*).

— Czemu, ciotulu, tak głośno wołacie?

ANTONIOWA.

— A bo nie idziesz i nie idziesz!

BASIA (*wesoło*).

— A dyć bez tchu leciałam! duchem!

ANTONIOWA.

— Bez tchu, duchem! Wiemci ja, jak wy duchem latacie! Ho, ho! (*pokazuje wolny ociężały chód młodych dziewcząt*). Za moich czasów nie tak się latało, ale tak (*drepce przeciotko po izbie drobnymi kroczkami*).

BASIA (*z uśmiechem*).

— Hola, ciotuchno. Idąc tak, jak wy mi każecie, nie przyniosłabym wam kubelka wody, boby się wszystko rozlało przez drogę. No, ale my gadu, gadu, a wy macie pewno jaki pilny interes, skoroście mnie tak wołali?!

ANTONIOWA.

— A juści, że mam i to nie jeden, a dwa!

BASIA (*wesoło*).

— A to mówcie żywo, okrutniem ciekawa!

ANTONIOWA (*otwiera usta, aby powiedzieć, nagle chwyciła się za głowę i lamentować poczyna*).

— A bodaj cię, zapomniałam, a bodaj cię, a bodaj cię!... (*do Basi gniewnie*) przez ciebie, sroczyśko ty pstre, skrzeko jedna!

BASIA (*ze zdziwieniem*).

— Przezemnie, ciotko?

ANTONIOWA (*przedrżętnia*).

— Te, te, te, te, te! Ciotko, przezemnie? pyta jak nie przymierzając cię z miną słodką... przezemnie ciotko?

BASIA (*trochę strapiona*).

— Ja doprawdy nie pojmuję, co się wam stało!

ANTONIOWA (*j. w.*).

— Widzicie ją, co mi się stało?! (*radośnie*) Ach, już wiem, com ci rzec miała! (*staje z miną groźną*).

Czy wiesz ty, taka owaka, jaki to dziś dzień? Wiesz, wiesz, wiesz, wiesz? (*następuje na Baśkę*).

BASIA (*usuwając się*).

— Toć wiem.

ANTONIOWA.

— No, to gadaj!

BASIA (*zdziwiona*).

— Trzydziesty dzień stycznia.

ANTONIOWA.

— Trzydziesty czy dwudziesty, to nic nie ma do rzeczy!

Ale jak się ten dzień nazywa, co?

BASIA (*i. w.*).

— Czwartek.

ANTONIOWA.

— Czwartek, czwartek! Ale jakież to czwartek, co?

BASIA (*j. w.*).

— Zwyczajny, zimowy czwartek.

ANTONIOWA (*prawie groźnie*).

— Zwyczajny czwartek? Jeszczem przez czterdzieści pięć lat swego życia o zwyczajnym czwartku nie słyszała (*niemal z prośbą*). No, Baśka, nie bądź ty głupia, pytam się ciebie, jak kogo dobrego. Powiedz no, jaki to czwartek? No... pijany, czy rozpustny, głodny czy chudy to czwartek?

BASIA (*śmiejąc się*).

Nareszcie wiem, o co wam ciotko idzie! Ostatni czwartek przed zapustami nazywają tłustym czwartkiem!

ANTONIOWA.

Z nieba spadło! niebożatko! Domyśliła się odrazu! (*przedrzeźnia*) Nazywają tłustym czwartkiem. Jak z książki! pięknie! (*po chwili niechętnie*) Pewno, że ty tłustym czwartkiem nazywać nie możesz, bo dla ciebie on chudy, chudy! Nadeszły zapusty, każda, co się wydać mogła, to się i wydała, a do ciebie nikt swatów nie przysłał, nie!

BASIA (*porywczo*).

Nie słał żaden swatów, bom nie kazała!

ANTONIOWA (*ze zgrozą*).

Tyś, nie kazała? Cóż to mi prawisz takiego, ty? Jak może dziewczka o swatach z chłopakami gadać? To nieobyczajnie!

BASIA.

Dlaczego, nieobyczajnie, ciotko? Miałam to choćby Felka Skoniecznego narazić na wstyd przed całą wioską, gdybym nie przepiła do jego swaci? Jak mi powiedział, że swatów przysła, odrazu-m mu rzekła: — Nie trzeba Felku swatów i tobie powiem, że żoną twoją nie będę. Więc po co miał ich słać?

ANTONIOWA (*plasnąwszy w dłoń*).

— O Jezusie! Toś ty odpowiedziała Skoniecznikowi? To dlatego tak raptem nawrócił się do Karasiówny Agatki? A gdzież ty głupia lepszego dostaniesz, pytam się pięknie, co?

BASIA.

— Moja ciotko. Wiem, że on dobry chłopak, jednak o mnie mało stał widocznie, skoro z miejsca się z Agatką ożenił. A ja nie mogłam iść za niego (*ciszej*), bo go nie kochałam...

ANTONIOWA.

— Cie ja, mądralinę! Nie kochałam! Albo to dawniej pytał się kto dziewczki, czy chce, czy nie chce zameścia? Ojciec przepił do swatów i rzecz ubita! A jak się wzdragala, to ją dobrze matka sprąła po plecach i był koniec! Po woli, czy poniewoli iść musiała!

BASIA.

— Dobrze, że dziś inne czasy.

ANTONIOWA.

— A Boga tam inne! Ty tylko umiesz być taką rządczynią dla siebie, bo nie ma nikt prawa nad tobą. Ojce pomarli, aleć dostatku na mogilki nie wzięli. Toś dlatego taka pyszna. Nikomu nie dasz do siebie przystępu. Nawet i mnie, bom na łasce u ciebie (*placze*).

BASIA (*podbiega do niej, obejmuje ją serdecznie*).

— Ach, ciotulu, co wy mi tu opowiadacie! Toć pychy u mnie nie poświęci, a was z serca miłuję, jak rodzoną, choć się niekiedy poswarzy-my. (*Antoniowa udobruchana*). Ale ciotko, ja nikomubym nie pozwoliła zniewolić się do nie-miłego zameżcia, nad sercem mojem gwałt czynić. Ach, nie mówcie mi jeno o łasce. Łaska jest wa-sza, żeście mnie, sierocie, matkę zastąpili, krzyw-dy mi zrobić nie dali... Kto to stoi o sierotę, wy zaś...

ANTONIOWA (*przerywa*).

— A gdzieżbym ja miała sumienie ciebie skrzywdzić! A toć matka twoja z nieba patrzy, nieszczęścieby na mnie spuścić gotowa.

BASIA.

— No, ciotko, nie zapierajcie się, że nie ze strachu mnie nie krzywdzicie, ale, że macie dobre serce i (*przymilnie*) że kochacie waszą Baśkę...

ANTONIOWA (*całując dziewczynę*).

— Ej, ty przylepko, pochlebnico. Ktoby dla ciebie nie miał serca! I dlatego tak mi markot-no, że ty, dziewucha nad wszystkie — męża do-tąd nie masz.

BASIA.

— Czego się to frasować, ciotko? Chłopak jak wróbel: posypiesz mu pszenicy to i przy-

leci. Jak będę chciała iść zamaż, to i pójdę. Ale po co mam się śpieszyć? Albo mi to źle z wami?

ANTONIOWA.

— Źle, czy dobrze — nie sposób, aby tak na-zawsze zostało. Zresztą, przyszła kreska na Ma-tyska, przyjdzie i na cię.

BASIA (*wesoło*).

— I na ciotulę może!

ANTONIOWA.

— Zboreźnico ty jedna! Roku jeszcze niema, jak pochowałam mojego, świeć panie nad grzesz-ną duszą jego — Jantosia!

BASIA.

— Toż ja ciotki nie namawiam.

ANTONIOWA.

— A idź z namowami! (*bierze chustkę*). Zo-staniesz to w domu, czy nie?

BASIA (*wesoło*).

— Zostanę ciotulu, zostanę. Przypilnuję ciot-czynych pączków, bo zaręczam, że gdzieś rosną na piecu.

ANTONIOWA.

— A jużci, że rosną. Tylko nie oglądaj, na Boga, bo z ciekawości tylko lament będzie, jak natrząśniesz donicę.

BASIA (*podchwytuje z zabawną zgrozą*).

— Opadną?!

ANTONIOWA.

— A niedoczekanie! Idę po okowitkę do szmalcu, żeby się nie palił. A ty Baśka nie rusz donicy, słuchaj, bo popamiętasz! (*grozi*).

BASIA (*j. w.*).

— Zapusty?

ANTONIOWA.

— A ino!

BASIA (*j. w.*).

— Niezwyczajny czwartek! (*Antoniowa wychodzi, Basia wysuwa malowaną skrzynię i zaczyna wybierać korale i chusteczki. Poczem mierzy chusteczkę w lusterku, na szyi wiąże korale*).

— Pocziwa ciotka, ale zrzedzi! Dawniej to się swarzyła ze swoim Jantosiem, a teraz już niema z kim, to ze mną zwady szuka. Trzeba wyswatać ciotkę, koniecznie! Bo, coprawda, to i gospodarka kuleje nam bez gospodarza. Stare Piotrzysko pocziwe z kośćcami, ale ani składu, ani ładu w robocie już nie ma. (*Po chwili*) Ciotka na mnie się gniewa, słusznie może, że nie chcę zamęścia. A ja, choć tańczyć, śpiewać lubię ogromnie, a śmiać się bez miary, to do żeniaczki mi wcale nie pilno. Ciotka za to: (*naśladuje Martę*) Twoje rówieśnice po parze dziatki mają, a ty co — jałowica i tyle! (*śpiewa*).

Nie kochałam ja żadnego
Chociaż chłopcy mnie kochają
I dlatego siła złego,
Oni o mnie powiadają.

Że w mej piersi serca niema,
Zamiast serca kamień noszę.
Co was, chłopcy, przy mnie trzyma?
Jać nie wiąże was, nie proszę.

Coś mi tylko mówi w duszy,
Że to serce — dziś niczyje
Kochać będzie, gdy się wzruszy
Małe serce — co tu bije... (*przyciska serce*).

— Może już nieco kogoś kochało (*wzdycha*).
Ach! Ale tego i powiedzieć sobie nie można.
Dzieciństwo... (*wchodzi Młynarz*).

MŁYNARZ.

— Tłusty czwartek. Przyszedł Bartek.

BASIA (*niezbyt przyjaźnie*).

— A pana młynarza, co tu sprowadza?

MŁYNARZ (*obojętnie*).

— Interes.

BASIA.

— Ciotki niema, poszła do arendy.

MŁYNARZ (*j. w.*).

— Zaczekam.

BASIA (*na stronie*).

— A bodajże cię, dziadziśko utrapione. Przy-
lazł, Bóg wie po co. Co ja tu z nim będę mówiła...
(*nagle*). Ach, wyborna myśl!.. toż to upatrzony
mąż dla ciotki. (*głośno, uprzejmie*) A jak zdrowie
łaskawego pana młynarza?

MŁYNARZ (*niedowierzająco*).

— He, co panna mówi?

BASIA.

— O zacne zdrowieczko pytam.

MŁYNARZ (*na pół rozbrojony*).

— Moje zdrowie? (*dziarsko*). Czyż trza się
pytać rydza, jak mu się powodzi, skoro się go
widzi dorodnym i zdrowym!

BASIA.

— Tylko co?

MŁYNARZ (*zuchowato*).

— Bierze się go do kosza i już.

BASIA (*udaje*).

— Do kosza? Patrzajcie! Aleć... bywają ry-
dze... robaczywe.

MŁYNARZ.

Bywają, panno, a jakże, bywają.

BASIA (*z uśmiechem*).

— A z takim co?

MŁYNARZ (*śmieje się głośno*).

— Takie nie dla panienek rosną.

BASIA (*podstępnie*).

— Tylko dla starszych kobiet, prawda?

MŁYNARZ (*i. w.*)

— No! tak, tak, napewno. Masz, babo rydza,
masz. Bądź kontenta i z robaczywego! (*do Basi*).
Ale nasz kwiatuszek w ślicznym dziś humorku,
różowym.

BASIA (*udaje naiwną*).

— Kwiatuszek, który? (*patrzy na doniczki*).
Czy ta róża miesięczna, a może gerania?

MŁYNARZ (*zachwycony*).

— Święta niewinności! panna Barbara, bez
urazy, ile też latek sobie liczy?

BASIA (*i. w.*)

— Tyle co i wiosen, panie młynarzu.

MŁYNARZ.

— A wiosenek ile?

BASIA (*i. w.*)

— Tyleż co i jesieni, panie młynarzu.

MŁYNARZ (*wesoło*).

— Nie chce panna powiedzieć, musi być dużo!

BASIA (*i. w.*)

— Darujcie panie młynarzu, ja na chrzcinach swoich nie byłam.

MŁYNARZ (*rozbawiony*).

— Jaka ta panna Barbarka ucieśzna! Pęknać można ze śmiechu.

BASIA (*udaje przerażoną*).

— Panie młynarzu! Zmilujcie się, poczekajcie, aż ciotka przyjdzie! (*składa ręce*) Moście wy! ja doprawdy tylko koszule umiem szyć i zapaski, ale młynarzy to nic a nic!

MŁYNARZ (*i. w.*)

— Anim ja wiedział, że się tak pysznie ubawię. Jak w jakim teatrze. Ach, panno Barbarko, gdybym to ja miał taką córkę jak panna Barbara, tobym na wieżę kościelną wlaź z uciechy.

BASIA.

— To byłby pan młynarz—dudkiem na kościele!

MŁYNARZ (*trochę obrażony*).

— No, ale jabym umiał także krótko trzymać (*pokazuje ręką przy włosach*).

BASIA (*podchwytuje*).

— Język za zębami?

MŁYNARZ (*nie wie, co o niej trzymać—ryzykuje*).

— Albo lepiej, gdybym miał taką śliczną żonkę. Ej, święte byłoby życie pani młynarzowej!

BASIA (*filuternie*).

— Doprawdy, ja wcale nie pojmuję, dlaczego się pan młynarz nie ożenił?

MŁYNARZ (*melancholijnie*).

— Różne są tego przyczyny. Siłaby gadać. Aleć najważniejsza ta może, że jeszcze dotąd nie urósł kwiatek, po który rad wyciągnąłbym rękę.

BASIA (*mimowoli*).

— To tak, jak i dla mnie.

MŁYNARZ (*bardzo zadowolony*).

— Więc widzi panna Barbara, to jest tak na świecie — swój swego szuka. Jak znajdzie, to i rad, a jak nie znajdzie, markotność go pomimo dostatku nie odejdzie. Tak, panno Barbaro, swój swego szuka (*wzdycha*).

BASIA (*zamyślona*).

— Ja to nawet o tem śliczną bajkę słyszałam.

MŁYNARZ (*rozczulony*).

— Ptaszynko ty śliczna. Zaśpiewaj mi tę bajkę, może o szczęściu ona...

BASIA (*budząc się z zadumy*).

— Mówiliście co do mnie, panie młynarzu?

MŁYNARZ (*przychodząc do siebie*).

— Tak, ja mówiłem do pańny Barbary. Dopominałem się o bajkę.

BASIA.

— O moją bajkę? Doskonale! (*przypominawszy sobie*). Ale zaraz, zaraz, panie młynarzu, ciotka kazała mi paczków pilnować. (*Zagląda do donicy*). O rety! co się dzieje, ciasto się przez misę leje, a tu ciotki niema. Darujcie, panie młynarzu. Szukać jej muszę (*wybiega*).

MŁYNARZ (*sam*).

— Ho, ho, ho! Ogień nie kobieta! Co to będzie za żona, bo to i gospodyni zawołana, i śliczna, wesoła, a figlarna, jak młody kotek. Słuchajno, panie Bartłomieju, trzymaj się dobrze, byś nie pozwolił odfrunąć z sideł tej ptaszynce. No, ale i mnie odejść pora. Nie przystoi samemu siedzieć w cudzej chacie!

(*Wychodzi. Chwila ciszy, poczem drzwi się uchylają i zwolna wchodzi Andrzej żołnierz. Ubranie opylone, postać smukła, ale znużona. W twarzy rozrzewnienie i smutek. Rozgląda się wokoło*).

ANDRZEJ.

— Nikogo, nikogo. A ja tak marzyłem o drogiej chwili, w której przestąpię progi tej chaty. Dumalem... Antoniowie siedzą oboje, on sieci wiąże, ona przedzie, a ta jasna, ukochana moja dziewczyna, na krosienkach płótno tka. Taki obraz miałem w myślach, w sercu, w duszy, a tu, tak inaczej... (*ze smutkiem*). Nikogo... Tak dla mnie całe życie. Ani wiem gdzie stał mój dom, ani

wiem gdzie ojce moi. Podrzutek z przytulku wzięty na wychowanie, przez dobrych ludzi żywiony, odziewany... A i tych dobrych ludzi już niema. Ziemia ich przysypała, złocisty piach cmentarza. Sam jesteś, sieroto (*ociera łzę*). Tyś prawie moja była chato, gdy u bezdzietnych Mateuszów był jedynakiem, pieszczonym, kochanym. Sześć lat już miałem, gdy urodziła się Baśka. Jak ja się bałem tego dziecka, jakbym czuł, że mi odbierze serce ojców. I zabrała jedno złote serce, matkę rodzoną w grób wpędziła, na świat przychodząc. Mateusz jedyne odtąd szczęście widział w dziewczynie, ale i dla mnie był dobry, bo jego ukochałą żonę nad świat kochałem. Umarł w kilka lat potem. Podroślakiem byłem, gdy przed śmiercią zawołał do siebie mnie i Baškę: — Kochajcie się moje dzieci, przemówił cichym głosem, ja was błogosławię, matka modli się za wami. — Jędre! pomnij, że byłem dla ciebie lepszy, niż twój rodzony. Odpląć to sierocie. A ty, Baśka, nie skrzywdź w niczem swego przybranego brata! A potem, poszukawszy drżącą ręką w zanadrzu, podał mi medalik. Ten sam medalik, który mi matka włożyła na szyję zanim mnie... rzuciła przed domem podrzutków. Boże!... (*kryje twarz w dłoniach*). I znów przeszło lat parę. Charowałem co sił, na Bańczynej roli. W chacie gospodarzyli krewni Bańczy, Antoniostwo. Wuj, chuderlawy był i starowaty, ciotka Marta prędką jak ogień, nie stara i jeszcze dorodna. I to dziewczyniátko ukochane między nimi, co mi jedno krzywe nie było,

siostra moja, Baśka. — Ej, jakże to przyjmą dziś mnie, przybędę z krańców świata, jak...

(Wbiega gromada przebrańców).

BABA (mężkimi głosem).

— Gosposiu, gosposiu! punczki su?¹⁾

KON.

— Niech cioteczka, da sianeczka.

BOCIAN.

— Kle, kle, kle, czy nie tu wesele?

BABA.

— Nie widać nikogo zgoła,
Gospośia pewno się skryła!

DYABEŁ.

— Kumeczko, bies cię woła!
W arendzie pewno była,
Wódeczki zakropiła,
Pączkami zakąsiła.

WSZYSCY.

— Dla nas nic nie zostawiła.

(Tańczą z pokrzykami. Andrzej stoi na stronie, więc go nie dostrzegają, tańcząc w głębi).

KOŃ.

— Hasajmy, płasajmy, hop sa sa!
Pojedziem, pojedziem do lasa!

¹⁾ Pączki są — (wymowa gwarowa).

Przywieziem niedźwiedzia burego,

Przywiedziem żołnierza męznego.

(Spostrzegają Andrzeja i otaczają go wieńcem, zaglądając mu w oczy, skubiąc go za rękawy i guziki mundura).

BOCIAN.

— A to co — bies czy pies?

DYABEŁ.

— Bies nie bies, biesem on być nie może
a czy jest piesem, (przygląda się) Bardzo być może...

BABA.

— Panie wojak, panie wojak
Co robisz w tej chacie?
Czyś ty cudzy, czyś ty swojak
Gadaj żywo, bracie!

ANDRZEJ (z uśmiechem).

— Swojak, juści, że swojak, przyjrzyjcie mi się, kochani.

(Przebrańcy zaglądają mu w oczy, z podrygami).

BABA.

— Możeś chrancuz, możeś miemieć
Lub austryjaniec,
Lecz w tej chacie cudzoziemiec,
Nie mamy cię za nic!

KOŃ (chwyta Andrzeja).

— Jakeś trafił na przebrańca
Chodź do tańca, chodź do tańca!

ANDRZEJ (*zatrzymuje go z okrzykiem*).

— Hej, wiara! Czyż żaden mnie nie poznaje? Mnie, Mateuszowego Andrzeja?

WSZYSCY (*z okrzykami*).

— Andrzej! Jędrus, to ty? Bracie kochany! A toś nareszcie wrócił z wojska? Stoisz i nie nie gadasz. Czemu to dopiero na zapust wracasz? Myśleliśmy, żeś pomarł, albo tam się pozostał?!

ANDRZEJ (*wita się z przebrańcami. Koń i bocian wyciągają ręce z pod okrywających ich płacht, co jest bardzo komiczne, przy ich drewnianych małych nieruchomych główkach*¹⁾).

— Jako mnie widzicie zdrów jestem i cały. Do Was, do wioski mojej, do tej chaty rwała się dusza moja. Więc wróciłem. (*smutno*). Choć obcy tu jestem i nie wiem, jak mnie przyjmą.

BABA.

— Przyjmą sercem i duszą jak i my.

ANDRZEJ (*j. w.*)

— Kto wie. Lata zeszły... (*żywo*). Więc gadajcie, co słyhać! Antoniostwo zdrowi... Basia?...

BOCIAN.

— Antoniemu się zmarło w wielkim poście.

¹⁾ Między przebrańcami w Ciechanowskim znajduje się zawsze koń; przebrany za konia ma na sobie długą żerdź, zakończoną podobizną końskiej głowy, cały okryty płachtą.

ANDRZEJ (*ze współczuciem*).

— Tak? Biedny Antoni! A... kobiety.

DYABEŁ.

— Zdrowe, zdrowe, zamążby rade, ale nikt nie bierze.

BABA.

— Gadasz tam! Baśki by który nie chciał!

ANDRZEJ (*udając spokój*).

— Baśka rada zalotnikom?

KOŃ.

— Rada, nie rada, kto ją tam wie. Ale się nie zadaje z nikim. Ciotka to aż na nią krzywa.

ANDRZEJ (*głucho*).

— Lubi ona kogo, co?

BABA.

— Chciałbyś rozumieć dziewuszyńską naturę! Taka jest, zda się, jak każda, za tańcem w ogień pójdzie, a zawsze boczy się, gdy kto o ołtarzu napomknie.

DYABEŁ.

— Ja to dobrze miarkuję, że kogoś już upatrzyła. Jóźwiak smali cholewki, aż miło, i ona rada nań spogląda!

ANDRZEJ (*z mocą i bólem*).

— Hej! bracia, wszak to dziś u nas zapusty. Bierście mnie z sobą, będziemy dokazywali. Muszę odszukać kolegę, co z rzeczami w arendzie został, a potem z wami, przebrańcami, po całej wiosce pójde. I tu wrócimy (*z naciskiem*) na pączki, gdy nadejdą gospodynie. Chciałbym się tylko przebrać, a nie mam w co.

BABA.

— No, nie kłopotz się. Już my cię tak przebierzemy, że cię i sam bies nie pozna!

DYABEL (*do baby*).

— Ty nie ruszaj biesa, bo siebie nie poznasz. (*Grozi jej swoim długim ogonem. Wychodzą ze śmiechem. Chwila upływa, poczem drzwi otwierają się z trzaskiem i wbiega zziębnięta Antoniowa, a za nią roześmiana Basia*).

ANTONIOWA (*krzyczy*).

— Ladaco, ty, ladaco! Pączków nie dopilnowała, chatę nie zapartą zostawiła! Pocięchy się doczekałam z ciebie, pocięchy! (*łapie się za głowę*). Ladaco, ty ladaco!

BASIA (*z uśmiechem*).

— Zostawiłam tu młynarza.

ANTONIOWA (*biegnąc do donicy z ciastem*).

— Tra la-la la-la-la — młynarza, młynarza!

(ZASŁONA SPADA).

Ta sama chata. Basia stoi przy oknie, głową oparta o ramę i patrzy chwilę, poczem, nie odchodząc od okna, mówi, zwracając się do widowni.

BASIA.

— Patrzę i patrzę, i nic nie wypatrzę! Cały dzisiejszy dzień chodzę jak senna i czekam jakiejś wieści. Złej czy dobrej, nie wiem sama. Chwilami boję się i smucę, a czasem, to takam rada, tak czegoś szczęśliwa, że aż... (*łykając łzy*) płakać mi się chce. Żle mi i dobrze, obca jestem śmiechowi, choć usta się śmieją, i blizka jestem łez, choć oczy nie płaczą. (*po chwili*). Cały dzień dzisiejszy taki bezmyślny, męczący... Ciotka się swarzy; pączki smażyła przez dobrych parę godzin, teraz, na szczęście, wyszła. Mogłam przynajmniej wywietrzyć izbę, bo przy niej! (*macha ręką*). Młynarz coś zanadto oczy do mnie przewracał. Czyżby i ten... (*wychodzi na środek izby, z uśmiechem*). Ej, święte byłoby życie pani młynarzowej! Jakie życie, to nie wiem, ale że świętą cierpliwość mieć będzie musiała, to nietrudno poznać. Chyba, że go za czub weźmie, ot tak, krótko (*pokazuje ręką, grubym głosem*). No, ja

już umiałabym krótko trzymać (*głosem zwyczajnym ciągnie rozpoczęte poprzednio zdanie*). Ale, co mi tam młynarz! Mnie serce ciągnie w świat daleki, do tamtego, choć wiem, że go z serca i pamięci wyrzucić winna. (*wzdycha, po chwili śpiewa*):

Ukochało serce moje
Ptaka, co odleciał w dale.
Ja tu płaczę, dziwy roję,
A on o mnie nie dba wcale.

A choćby pomyślał o mnie,
Też żal gorzki serce ściska.
On nie dla mnie, bo on niema
Ojca, matki, ni nazwiska...

(*przerywa raptownie, bo wbiega Antoniowa*).

ANTONIOWA (*przyskakuje do Basi*).

— Tra-la la-la! tra-la-la-la!

BASIA (*spokojnie*).

— Ciotka śpiewać nie pozwala?

ANTONIOWA.

— Śpiewać darmo, boli gardło!

BASIA (*usuwając się*).

— A co mam robić dziś, w zapusty? Niedługo przyjdą dziewczęta, przebrańcy zlecą się na ciotczyne pączki, to mi nie opłaci się do krosien siadać.

ANTONIOWA (*łagodnie*).

— Ja też nie o robocie. Ale, słuchaj mnie, Baśka. Ja ci chcę coś powiedzieć. Dziś, wieczorem będzie je... jeden... co cię zdawna i okrutnie miłuje. Bądź ty jemu rada. Ja cię tak proszę.

BASIA (*wesoło*).

— A po czym mam poznać jego miłowanie?

ANTONIOWA.

— On ci sam o tem powie.

BASIA (*żartuje*).

— A jak powie niejeden?

ANTONIOWA.

— To niech twój rozum rozsądzi.

BASIA (*j. w.*).

— Spróbuję być rada gościowi. Powiedz mi jednak, ciotko, zdaleka on, czy zbliżka.

ANTONIOWA.

— On... prawie domowy.

BASIA (*z okrzykiem*).

— Andrzej?

ANTONIOWA.

— Oszalałaś? co tobie? Andrzej, jaki Andrzej?

BASIA (*opanowując się*).

Ja myślałam ciotko, że wy tak o nim.

ANTONIOWA (*uburzona*).

— Jaby m mówiła o nim? O podrzutku, o wywłóce?

BASIA (*ciszej*).

— Nie mówcie tak ciotko. On był mi bratem.

ANTONIOWA.

— Był i nie był, i chwala Bogu, że nie jest. Chowali go ojce na parobka, ale nie na zięcia. (*badawczo*) Ty może przez niego taka jesteś harda, co?

BASIA (*cicho*).

— Ej, nie! Choć lepiej, gdyby był z nami... gospodarza trzeba... Chłopak był dobry.

ANTONIOWA.

— Nam jego dobroci nie brak! Ale mądre słowoś rzekła, trafiło się ślepej kurze ziarno. Trza nam gospodarza, a juści, że trza. Wydasz się...

BASIA (*przerywa*).

— A jak wróci?

ANTONIOWA.

— Zanim powróci, ty już będziesz za innym. Dla niego miejsca nie będzie w twojej chacie.

BASIA (*załamuje ręce*).

— Biedny, gdzież się podzieje...

ANTONIOWA.

— Moście wy! Hadwokatka jaka! A niech się podziewa, gdzie chce, świat szeroki. Cie, jak to stoi o tego — soldata!

BASIA (*porywczo*).

— A co mu wymawiacie, ciotko! Musiał służyć!

ANTONIOWA (*pogardliwie*).

— Wiadomo — musiał. Podrzutek przecie, opieki nad nikim nie miał! I tak go niewiadomchem zapisali. (*grozi*) Oj, dziewczyno, gdybyś ty, Sekulanka, chciała iść za niewiadocha, jaby m się ciebie wyparła!

BASIA.

— Ale, co wy... ciotko, Marto... ja nie... (*żywiej*) Mówicie, że jakby mnie zastał zameżną, to by w świat poszedł?

ANTONIOWA.

— Choćbyś była zmówiona tylko, to i tak cie twój chłop przed nim obroni. Fora ze dwóra i już! Ale ty mi Andrzejami głowy nie zawracaj! Słyszałaś?

BASIA (*chwiejnie*).

— Biedny Jędrus. Ojce go lubili. I dla mnie był dobry. (*silnie*) Ciotko? czy wy nie o młynarzu dla mnie myślicie, co?

ANTONIOWA (*zaskoczona*).

— O młynarzu?...

BASIA (*ze śmiechem*).

— Bo wiecie, ciotko, i ja o młynarzu pomyślałam...

ANTONIOWA (*przerywa, składając ręce*).

— Dzięki Ci, panie Boże!

BASIA (*i. w.*).

— ...że on ogromnieby pasował... dla was!

ANTONIOWA (*zdumiona*).

— Dla mnie, dziewczyno, dla mnie?

BASIA.

— No, a jakże? Dla was nie dla mnie on prawie. Ale... skoro tak bardzo tego żądacie — wezmę go sobie!

ANTONIOWA (*z dziwną miną*).

— Jak sobie pościelesz, dziewczucho, tak się wyśpisz!

BASIA (*do siebie*).

— Trafiłam ciotkę! Dobrze. (*głośno*) Nie słyszeliście, ciotulu, zda się wrota skrzypnęły, co?

ANTONIOWA (*mrukliwie*).

— A kto je tam wie!

BASIA.

— Pewno dziewczęta przyszły. (*Za drzwiami śmiechy i okrzyki, dziewczęta, wbiegają, wołając*).

DZIEWCZĘTA (*razem*).

— Olaboga! „bakusy“, o rety! Zawieraj żywo, Baśka!

BASIA (*uradowana*).

— Chodźcie, chodźcie, moje złociste. Wszystkie przyszły, co?

ANTONIOWA (*gniewnie*).

— Drzwi zamykać, przecie nie lato!

KASIA (*do Basi cicho*).

— Ciotula zła?

JÓZKA (*wyręcza Basię w odpowiedzi*).

— Jak i codzień.

HANKA.

— Wiecie wy o nowinie, co?

BASIA (*śmiejąc się*).

— Jak powiesz, to będziemy wiedziały.

KASIA (*pogardliwie*).

— E, pewno o tym żołnierzu! Wrony o tem kraczą.

BASIA (*drgnęła*).

— O żołnierzu... o jakim żołnierzu?

WSZYSTKIE TRZY *(trzępią razem)*.

— To ty nie nie wiesz? Bój się Boga! jakiś wrócił z wojska, chodzi po całej wsi i znajomych szuka.

BASIA *(gorączkowo)*.

— Po całej wsi? U nas nie był, prawda, ciotulu?

ANTONIOWA *(zła)*.

— Pies go wie, był, czy nie! *(śmiech dziewcząt)*.

BASIA *(do dziewcząt)*.

— Wyście go widziały?

WSZYSTKIE.

— My to nie, ale chłopcy mówią, że widzieli.

BASIA *(ciszej)*.

— Nie wiecie, kto to taki?

HANKA.

— Gadaj zdrowa z chłopakami! Czy to co kiedy rzetelnie opowiedzą? Zmanią tylko. — Gadał Fránek, że ten żołnierz, dziewczyny ulubionej szuka i nie może znaleźć.

BASIA *(ze łzami)*.

— Biedny żołnierz! *(okrzyki, śmiechy, popychanie, półgłośna a gwarna rozmowa za drzwiami)*.

DZIEWCZĘTA *(zaciekawione)*.

— Co to?

(Wbiega gromada przebrańców. Dziewczęta przerażone i rozśmieszone cisną się w kąt, ciekawe, a bojące się. Przebrańcy je gonią, poczem jeden z nich, przebrany za dyabła, bierze harmonię i, skacząc a tupiąc do taktu, wygrywa obertasa. Przebrańcy chwytają opierające się dziewczęta i zaczyna się taniec. Poczem wychodzi na przód żydek i, kłaniając się jarmułką, którą zaraz kładzie na głowę, zaczyna mówić, zwrócony do Antoniowej).

ŻYDEK.

— Ja z wielkiem psieproszeniem, że do panów katolickich na zapust przychodził. Ale ja faktor jestem i od gęszów, i od zboża, i od służbów, i od lasów i od różnoszczów, to ja zawsze tam chodźycz, gdzie sze ludzie weselą. I na chrzczyzny, i na zabawy, i w zapust, i w post, i zawsze ja z psieproszeniem musze bycz wszen-dże. Ja potrzebuje zrobicz jenteres bardzo pilny. Bo pani gospodyni wi, co to nas żydków spotkało? Jak mi się spiknęli z takim panem Jagiellem, ale nie z tym ze słupa, ale z tym od dumy, to uni z tego źle jagłem handlują. Żeby moje wrogi taki handel miały! To ja sze czego jenszego wziął. Ja od jednego pana żołdat jezdem wysłany, bo wun pannie zgubił i należcz nie może. Wiadomo, przez żydka to i trawa nie urosznie. To wun mi kazał swoi panny szukacz. — To ja z tem przychodze *(do Kasi)*. Może to panna pa-

na żołnierz panna? *(Kasia ucieka, kryjąc twarz w zapaskę. Żydek do Józki).* Może panna pana żołnierzego panna? *(Józka, jak poprzednia — żydek do Hanka).* A może panna pana żołnierzowa panna? *(Hanka, jak poprzednie, kryje się za Basią. Żydek do Marty).* Chyba więc panna pana żołnierz panna! *(Antoniowa się nie usuwa, budząc śmiech ogólny. Widząc to, grozi żydkowi pięścią).*

ANTONIOWA.

— Ty brodofijaszu, ty Barabaszu, ty Judaszu!

ŻYDEK *(kłania się).*

— Hersz Icek Mośkowicz Naszenie, pani gospodyni. *(do Basi).* A panna, to wiem, że nie pana żołdat panna. *(Basia robi ruch zdziwienia).* Nu, żydek wszystko wi! Aj waj! Co wun nie ma wiedzieć. Wun ma kiepele i wi, że takie delikatne osobe, takie cy-cy fajne osobe, takie godne osobe, pana żołdat panne bicz nie może. A że i panny *(wskazuje dziewczęta)* som niczyje panny, to ja z psieproszaniem tu nocować nie będę. *(kłania się).* Jakby co trzeba, polecam się państwu, ja jezdem od gęszów, od służbów, od mydlów, powidlów, od kuniów.

ANTONIOWA *(zła, przerywa).*

— I od świń!

ŻYDEK.

— A od szwiniów to ni, bo to *(pluje),* bez urazy pani gospodyni, to paskudne stworzenie.

Adiu! *(odchodzi za plecy przebrańców)* całkiem dla pani gospodyni pasuje.

KASIA *(do Basi).*

— Widzisz, i żyd wojaka przewąchał.

HANKA.

— E, czy to żyd? to przebraniec!

JÓZKA.

— To Kowalewiak!

ŻYDEK *(wyskakuje z za przebrańców do Hanka).*

— Stiel bube! A gite nacht, *(kłania się, śmiech. Drzwi się otwierają, wchodzi młody żołnierz w towarzystwie druciarza. Przed nimi kroczy wspaniałe młynarz, rozpierając się nieco między zebranymi).*

ANTONIOWA *(do młynarza z dygiem).*

— Witajcie, witajcie panie młynarzu. Taki gość!

MŁYNARZ *(ze śmiechem).*

— Witam, witam! Zapusty, widzę, paradne! Przebrańców gromada, panny, jak jagódki! To i nie sposób wysiedzieć samemu. Ja tu do was pani gospodyni, drugi raz jestem... wedle tego, co wiecie... alem interesu nie załatwił, może... Może mi krzywi jesteście, he?

ANTONIOWA *(mizdrząc się, wyciera ławę fartuchem).*

— Siadajcie panie młynarzu, okrutniem z was ukontentowana. Siadajcie zaraz!

BASIA (*na stronie*).

— Za mnie, czy za siebie taka ciotka rada?
(*spozstrzega żołnierza*). Ach!

DZIEWCZĘTA (*przybiegają do niej*)

— Co ci to Basiuchna, co? (*spozstrzegają żołnierza*). Patrzaj, to on! przyszedł na wieczornicę!

ANTONIOWA. (*do żołnierza*).

— Żołnierz czy przebraniec?

STANISŁAW.

— Jak wam się podoba, pani gospodyni.

ANTONIOWA.

— Mnie się nic nie podoba. A wy z daleka?

STANISŁAW (*wesoło*).

— Ziemia okrągła, to może zbliżka, a może zdaleka.

ANTONIOWA (*zła*).

— Czego więc żądacie?

STANISŁAW (*spokojnie*).

— Staropolskiej gościnności.

BASIA (*uprzedzając ciotkę, serdecznie*).

— Więc się rozgośćcie u nas, jak najmilej!
czem chata, bogata...

ANTONIOWA (*ostro do Basi*).

— A ty czego?

BASIA.

— Gościowi-m rada!

(*Antoniowa odpowiada jej gniewnie, ale słowa jej głuży wołanie Andrzeja przebranego za druciarza*)

ANDRZEJ (*przeciągając, jak Słowacy*)

Garnki drutować

Panny całować

W zapust tańcować,

Dzieci w torby brać!

(*Śmiech, nieruchomi podczas tej sceny przebrancy zaczynają skakać i tańczyć, gonić dziewczęta. Basia usuwa się na stronę i patrzy na żołnierza*).

BASIA (*do siebie*).

— Andrzej to? Nie, widzę, że nie on. Ale kto to być może, czego tu chce. Czemu w sercu budzi niespokojne wspomnienie tamtego, gdym postanowiła już wybrać sobie męża. Tak, smutne będzie moje zamężcie, moje wesele łzawe. Cóż robić, serce nie zna kochania, niech choć mam za to męża bogatego i statecznego człowieka. — (*patrzy na młynarza*). Oczy zamknę, gdy mu będę ślubowała kochanie.. Gdy tamten wróci — bratem mi jeno będzie, choć, gdy odchodził, zdawało mi się, że go nad świat miłuję. Ciotka w chacie mojej zostanie, swarzyć się nie będzie, Andrzejowi kawał pola podaruję, przecie ojciec go krzywdzić nie kazał... I już. Nie mogę przecie lat młodych marnować, na niego czekać. I czekać nie chcę. Możeby serce silniej przemówiło i została bym żoną — podrzutka! Nie, tego nie będzie!

(Zbliża się druciarz Andrzej wpatrzony w Basię).

ANDRZEJ *(do Basi).*

— Czy wy nie macie, panienko, roboty dla druciarza?

BASIA *(budząc się z zadumy).*

— Roboty... dla was? *(z uśmiechem)*! Idźcie do ciotki, to wam da odrutować donicę, co jej dziś z pieca zleciała. Ja tu nie gospodyni, roboty nikomu nie nakazuję!

ANDRZEJ.

— Myślałem, że i wy mi coś... naprawić każecie.

BASIA.

— Ja? skąd wam to przyszło do głowy?

ANDRZEJ.

— Drutowałem dziś serce jednego biednego żołnierza.

BASIA.

— Żołnierza? *(patrzy na Andrzeja z przeżeniem).*

ANDRZEJ *(z uśmiechem).*

— Tak, panienko. Ot, widzicie serce mu pękło, bo chodził i chodził i szukał swojej dziewczyny i znaleźć jej nie mógł. A że chciał jeszcze do waszej chaty przyjść na wywiady, więc sobie serce kazał odrutować.

BASIA *(przyciskając serce).*

— Tu? serce? *(nie potrzy na druciarza. Cicho)* tak ją miłuje?

ANDRZEJ *(w uniesieniu).*

— Jak oka źrenicę, jak duszę własną, jak jabłko rumiane, jak matkę - ziemię... Ona ptaszyna, jagódka, gwiazdeczka...

BASIA *(podniecona słowami druciarza, podchodzi do żołnierza).*

— Wy, panie, zdaleka? *(Druciarz posuwa się i staje za nią, słuchając rozmowy)*

STANISŁAW *(uprzejmie).*

— Jako rzekłem. Zdaleka i zbliżka, panienko.

BASIA *(z uśmiechem).*

— Jak to rozumieć?

STANISŁAW.

— Pochodzę zbliżka, z olszyńskiej parafii. Wracam zdaleka, z kraju, gdzie żółta febra ludzi, jak muchy, zabija, gdzie ziemia spękana dziwne rodzi owoce: piękne na pczór, a w proch się sypiące, gdy się w nie usta spragnione zanurzy.

BASIA.

— Owoce w proch się sypiące? Dziwy mi prawicie! Prawda li to, czy bajka?

STANISŁAW.

— Szczera prawda panienko, szczerą. I takie

smutne myśli do głowy przychodzą... A może was nudzę, panienko? Wyście pewno potańcować radzi?

BASIA (*żywo*).

— O nie, opowiadajcie jeszcze! Mnie to bardzo ciekawi!

STANISŁAW.

— Miałem, panienko, jednego kolegę, Andrzej mu było..

BASIA (*z okrzykiem*).

— Andrzej?

STANISŁAW.

— Znacie, panienko, jakiego Andrzeja? (*z uśmiechem*). A może tak się zwie wasz ulubiony?

BASIA (*żywo*).

— Mój ulubiony? Nie, to nieprawda!

STANISŁAW.

— Tak pomyślałem, bo wam coś to imię żywo przypomniało.

BASIA (*zimno*).

— Chował się kiedyś u moich ojców... podrzutek, Andrzejem go zwali.

ANDRZEJ (*Andrzej na stronie, cisnąc serce*).

— Podrzutek!... Boże, Boże!

STANISŁAW (*prawie ostro*).

— I gospodarzówna zakochała się w nim, wydać się za niego przyobiecała, gdy wróci z wojska?

BASIA (*twardo*).

— Nie! gospodarzówna dziś właśnie obchodzi swe z innym zrękowiny.

ANDRZEJ (*na stronie z bólem*).

— I czegoż ja się doczekałem!

STANISŁAW (*patrzy drwiąco na zebranych*).

— Trudno mi tu odnaleźć wybranego panny, bo chłopcy są przebrani. (*szyderczo*) Musi być piękny, młody, bogaty, dobrego rodu...

BASIA (*dumnie*).

— Jaki jest, taki jest, dość, że mnie się spodobał! A co do rodu, to możecie być pewni, że nie żaden Niewiadomski!

ANDRZEJ (*na stronie z rozpaczą*).

— Po tom tu przyszedł z kraju świata! po to!

STANISŁAW (*szyderczo*).

— Więc przyjmij, panno, życzenia szczęśliwego stadła. Tylko... kolega mój mawiał, a Andrzej mu było, że i niektórzy ludzie są jako te owoce, piękne na pozór, a gdy znęcony podróżnik zanurzy w nie usta spragnione—prochem zasypują mu gardło! Czołem! (*salutuje Basię i idzie ku drzwiom*).

ANDRZEJ (*do Stanisława, cicho*).

— Zabierz mnie z sobą!

MŁYNARZ (*zatrzymuje ich*).

— Czekaście, bratki, nie odchodźcie jeszcze. Chcę was prosić o przysługę.

STANISŁAW (*uprzejmie*).

— Do usług panie młynarzu!

MŁYNARZ (*poufnie*).

— Zajmijcie trochę gospodynię. Trzyma się mnie, jak... (*mówi coś na ucho Stanisławowi śmiejąc się*). A ja mam słówko do młodej gospo-
si (*wskazuje głową Basię*).

STANISŁAW (*poufnie*).

— Chcielibyście panie młynarzu zatargować tę łanię?

MŁYNARZ (*z uśmiechem*).

— Ba! ja na to, jak na lato!

ANDRZEJ (*groźnie*).

— Z tej mąki nie będzie chleba!

MŁYNARZ (*wyniośle*).

— A waści kto się pyta, co?

STANISŁAW (*podchwytuje*).

— Słowak, jak umie, tak Pana Boga chwali. Chciał rzec: z tej mąki nie będzie chleba a we-

selne kołacze, albo inne, przedziwne obwarzanecki. (*do Andrzeja*) Cicho! usuń się. (*Andrzej robi krok w tył*).

MŁYNARZ (*do Stanisława*).

— Waść mocno mi się udał. Kompania z waścią miła.

STANISŁAW (*salutuje po wojskowemu wesóło*).

— Wedle rozkazu, panie kapralu!

ANDRZEJ (*chmurnie do Stanisława*).

— Idziesz, czy nie?

STANISŁAW (*do Andrzeja na stronie*).

— Jędreku, opamiętaj się, co tobie?

ANDRZEJ (*do Stanisława*).

— Nieposkromiony gniew mną miota!

STANISŁAW (*chcąc zagłuszyć, głośno do obecnych*).

— Hej! ludzie! dosyć swawoli! (*przebrani stają*) posłuchajcie piosenki. (*do Andrzeja*) Śpiewaj, druhu.

BASIA (*na stronie, spojrzawszy na Andrzeja, cofa się zdumiona*).

— Te oczy płomienne, dziwne oczy...

ANDRZEJ (*do Stanisława*).

— Ja mam śpiewać, ja?

BASIA (*i. w.*).

— Ja te oczy znam, widziałam... (*trze czoło ręką*)

STANISŁAW (do Andrzeja).

— Ba, chyba nie ja. Wiesz, jaki mam piękny, barani głos. Tyś śpiewak za to. No, czego się drożysz? Dalej.

DZIEWCZĘTA (otaczają Andrzeja).

— Śpiewajcie, druciarzyku, śpiewajcie!

(Młynarz zbliża się do Basi i zaczyna cicho rozmawiać. On coś mówi, prosi, przekłada, nalega, ona się sroma, oczy spuszcza, w rękach mnie fartuszek, wreszcie pochyla głowę i cicho odpowiada. Przez ten czas dziewczęta i przebrańcy otaczają Andrzeja, Stanisław zaleca się do Antoniowej).

HANKA.

— Śpiewajcie, druciarzu. Tak lubimy piękne pieśni... Może umiecie jaką ładną piosenkę?

ANDRZEJ.

— Piosnki moje niewesołe, jak moja dola!

KASIA.

— Ja tak lubię smutne pieśni!

DYABEŁ.

Ja zaś lubię ucieszne i swawolne (wykręca młynka).

ŻYDEK (przysuwa się).

— Ja to lubię piosenki z pieprzem i ze solem.

KASIA.

— I z cebulką?

DYABEŁ (do żydka).

— Icek, zaśpiewaj majufes.

ŻYDEK.

— Git, git. Ja ci zaśpiewam piękne piosneczke, co o tobie sam pan Mićkiewicz wymyślał. (śpiewa cieniutko):

Niedaleko Damaszk, aj, waj,
Siedział dyabeł na daszku aj, waj,
W kapelusie czerwonym, aj, waj,
Kwiateczkami upstrzonym, aj, waj.

(śmieją się, dyabeł rozgniewany rzuca się na żydka. żydek umyka, a przebrańcy śpiewają):

Żydzie, żydzie,
Dyabeł za tobą idzie,
W czerwonej czapie
Za łeb cię łapie!*)

(Dyabeł chwytą żyda i wśród śmiechu obecnych wylatują za drzwi).

MŁYNARZ (do Basi).

— Więc zgoda, jagódko? Weselisko sprawimy po przewodach?

BASIA (jakby ze łzami, cicho).

— Dobrze, po przewodach.

*) Ludowe.

ANDRZEJ (*rozmawiający z dziewczętami, usłyszawszy słowa Basi*):

— A więc, skoro tak chcecie, to wam zaśpiewam!

DZIEWCZĘTA (*klaszczą w dłonie*).

— Śpiewaj, śpiewaj!

(*Młynarz z Basią, stojący po prawej, odwracają głowy w stronę Andrzeja, po lewej Stanisław, podkręca wąsy, robi czule miny do ciotki, przebrańcy i dziewczęta grupują się po bokach, a w środku tworzy się wolne miejsce, gdzie stoi Andrzej.*)

KASIA.

— Zaśpiewaj smutną piosenkę!

ANDRZEJ (*twardo*).

— Nie, zaśpiewam wam ucieszną, zapustną! (*zamyśla się chwilę, poczem zaczyna śpiewać*):

Do wioski, do cichej, do wioski kochanej,
przez osty, przez ciernie, rozłogi.
Szedł żołnierz z obczyzny, z krainy nieznanej,
w ojczyście zawitać chciał progi.

Tam w ziemi dalekiej, zostawił kochanie,
dziewczynę, jak różę kwiat świeży.
Więc дума, czy w zdrowiu jedyną zastanie,
bo w miłość, w przysięgi jej wierzy.

Pamięta tę chwilę, gdy rzewnie płakała,
rzucając mu rączki na szyję.

I czuł, gdy na piersi upadła mu biała,
jak serce rozpacznie jej bije.

„Odchodzisz? powracaj, powracaj, mój miły,
„co warte to życie bez ciebie!
„Jeżeli nie wrócisz, do zimnej mogiły
„mię grabarz w lat kwiecie pogrzebie!”

W dalekim był kraju, trud lata mu skraca.
zwolnienia wygląda w tęsknocie.
Nareszcie zwolniony! corychlej powraca,
powitać swą miłą, swe krocie.

— Hej, głupi żołnierzu, gdzie śpieszysz, i po co?
wierzyłeś w przysięgi dziewczyny?
Ty idziesz i idziesz, dzionkami i nocą,
spoczynku nie łaknąc godziny.

Przychodzisz, zdaleka już widzisz szczyt krzyża,
na śmigłej wieżyczce kościoła.
Po drodze piaszczystej, ktoś z wioski się zbliża
zda ci się wysłańcem anioła.

To sąsiad po drzewo wyjechał do lasu,
wescłym okrzykiem cię wita.

— Bóg z Wami, sąsiedzie, na gadkę brak czasu
bo moja zorzeńka już świta!

Tam moja dziewczyna mię czeka stęskniona,
chcę miłą ucieszyć powrotem.
A sąsiad coś mruknął, koniki zacina,
i wóz się potoczył z łoskotem.

Znów idzie ktoś drogą, to siwa babina,
koszturym żebraczym krok znaczy.

A serce żołnierza lęk mrozić zaczyna,
ten żywot wspomniawszy tułaczy.

I grosik jej rzuca, a ona w pokorze,
pół jękiem za datek dziękuje.

I nagle zawoła — Toć Janek! mój Boże!
jakże się me serce raduje!

Chcesz pytać, co słyhać, lecz gadać niesporo
bo ona coś smutnie spogląda.

Więc tylko: — „Gdzie dzisiaj na tańce się zbiorą?
pohasać mi setnie się żąda!...”

Powiada babulka — gdzie będą tańcować,
ty idziesz przez śnieżne tumany.

— Ach, jeszcze pół staja, i będziesz całować
usteczka dziewczyny kochanej.

Przychodzisz, w tanecznym chcesz udział wziąć
— zajęte twe miejsce — żołdacie! [kole,

Idź w nową tułaczkę, na dołę, niedołę,
nie spocznieś u miłej twej w chacie.

(patrzy wyzywająco na młynarza)

Dziad stary, po drogą dziewczynę twą sięga,
a ona serdecznie mu rada.

— Hej, oto kochanie, i wierna przysięga
dla... trzosa możnego sąsiada.

(zwrócony do Basi, serdecznie)

Więc żegnaj dziewczyno, więc żegnaj Kalino,
tyś była mi słońkiem na niebie.

Niech lata ci setne — w dostatkach upłyną,
...żyć będę, umierać bez ciebie...

ANDRZEJ *(twardo)*.

A zanim odejdę, — weź talar ten biały,
na czepiec ci daję... niewiele!

Czas w drogę, już śniegi mi drogę usłały,
— nie wrócę na twoje wesele!

(Rzuca z brzękiem srebrny pieniądz na stół i wychodzi z podniesioną głową, wśród ciszy i zdumienia obecnych. Basia wybuchając łkaniem. Dziewczęta ją otaczają, młynarz szepcze jej coś do ucha).

BASIA *(nieprzytomnie)*.

— Te oczy... znam!... Nagle rzuca się do drzwi). Andrzej!

(Zasłona spada. Po malej chwili podnosi się. Wszyscy stoją na swoich miejscach nieruchomi, wpatrzeni w drzwi, którymi wybiegła Basia. Nie ma młynarza i Stanisława).

HANKA *(półgłośnie)*.

— Co to się stało?

KASIA *(j. p.)*.

— Widzi się jej, że to Andrzej, Mateuszów wychowanek.

JÓZKA.

— Lubili się oni zawdy, lubili jak rodzonej matki dzieci.

(Szmer przy drzwiach, wchodzi młynarz, prowadząc prawie omdlewającą Basię. Podążają ku niej dziewczęta i sadzają ją na ławie).

ANTONIOWA *(do Basi)*.

— Utrapienia! co ty dziś wyprawiasz? *(Podaje jej kubek z wodą)*. Napij się!

BASIA *(odsuwając kubek)*.

— Nie, ciotko.

ANTONIOWA *(do niej przez zęby)*.

— Pośmiewisko z siebie czynisz!

BASIA *(podnosząc głowę)*.

— Ja?

ANTONIOWA.

— Chybać nie ja. Przestań! ludzie się śmieją.

BASIA *(podnosi głowę)*.

— Słusznie mówisz, ciotko. *(głośno do obecnych)*. Darujcie mi, że wam przerwałam zabawę. Wiecie, w ojcowej chacie chłopiec się chował... parobek... Do wojska go wzięli. Nie wrócił w porę — pono wojny czekają. Aż dziś, w zapust, zaczął mi się wciąż przedstawiać. Zobaczywszy żołnierza, zrazu pomyślałam, że to on, druciarz, zdało mi się, miał Andrzejowe oczy...

ANTONIOWA.

— Czary, czy omamienie, musi być!

BASIA.

— I myślę *(ociera oczy)*, że ten biedny Andrzej pomrzeć musiał, skoro tak ciągle przedemną staje.

DZIEWCZĘTA *(z okrzykiem strachu)*.

— Olaboga, o rety, nie mów tak, Baśka!

ANTONIOWA.

— Czyste nawiedzenie!

BASIA.

Ojciec go skrzywdzić nie kazał, więc myślałam właśnie, jakby go wynagrodzić...

MŁYNARZ.

— O tem potem.

DYABEŁ.

— Co się odwlecze to i uciecze!

BASIA.

— ...a on biedak pomarł!

STANISŁAW *(staje w drzwiach)*.

— Nie grzeb żywych! *(słyszcy go tylko parę osób)*.

MŁYNARZ *(do Basi)*.

— Niech się panna Barbarka uspokoi!

BASIA *(wstając)*.

— Jawi mi się zaś Andrzejowa dusza pewno dlatego, że bratem mi był jakoby, a dziś dla mnie dzień ważny i uroczysty.

MŁYNARZ *(staje obok)*.

— I dla mnie także.

BASIA (*podaje mu rękę, do Marty*).

— Pobłogosław nas, ciotucho.

MŁYNARZ (*do Marty*).

— Oddaj mi wychowankę, pani Antoniowo!

ANTONIOWA (*oburzona*).

— O rany Boskie, co ja słyszę! A to co za maskarada? A to co za zberezeństwa. Czy to wy pasujecie do siebie? A toć urwanie głowy będzie miał pan Bartłomiej z tą ladaco. Czy to pan dla niej? pan prawie...

DYABEŁ (*podchwytuje*).

— ...pasuje dla ciotki! (*śmiech*).

BASIA (*zimno*).

— Chcieliście sami, ciotko, tego stadła. Ja wolną wolę mam!

MŁYNARZ.

— Namysłajcie się prędko pani Antoniowo. Jak wiecie, na namysły szkoda czasu. !Ja go! wiele nie mam.

DYABEŁ (*cienkim głosem*).

— Tak sędzę i ja.

ANTONIOWA (*oburzona*).

— W starym piecu dyabeł pali.

DYABEŁ (*wskazuje Antoniową*).

— Dopraszam się łaski... ja, w tym piecu nie palę, chyba mój kolega! (*śmiech*).

ANTONIOWA (*nie słucha*).

— Tak, tak, dyabeł pali! pilno mu, widzicie!

BASIA (*zimno*).

— Mamy się obejść bez błogosławieństwa, ciotko.

ANTONIOWA.

— A niech tam! (*wznosi ręce nad ich schylnymi głowami*).

BABA.

— Gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle.

ZYDEK.

— Gdzie baba nie poradzi, tam żydek fajnie poradzi! (*śmiech. Antoniowa podchodzi do młynarza i rozprawia żywo z gestami*).

DYABEŁ (*do żydka*).

— Ciotka chciała się sama wydać za młynarza.

ZYDEK.

— Ny, ty dyabeł, ale ty głupi rozum masz. Ja mam fajne kiepele (*uderza się w czoło*). I ja coś wim!

DZIEWCZĘTA (*zaciekawione*).

— Co wiesz, powiedz żywo!

ZYDEK.

— Ny, a co mi dacie za nowinę?

DZIEWCZĘTA (oburzone).

— Patrzajcie, już chce coś wycyganić!

ŻYDEK.

— Still! Ja wam i tak powiem. Sza! (dziewczęta się cisną). Sza! Ja potrzebuję wiedzieć co ja ... nie wiem nic! (śmiech przebrańców, gniewne okrzyki dziewcząt, uganiania się po scenie za żydkim). Stanisław podchodzi do Basi.

STANISŁAW (ostro).

— Czemu kłamałaś, dziewczyno? Wszak wiesz, że Andrzej żyje!

BASIA (twardo).

— Andrzej ... niewiadomski — wiem!

(ZASŁONA SPADA).

(Chata młynarza. Duża, widna izba, utrzymana czysto i ochędźnie. Tylko łóżko, prostą samodzielną derą przykryte, bez pierzyn i poduszek, mały na ścianie obrazek, wszystko wskazuje brak gospodyni. Młynarz w białym kitlu siedzi przy stole).

MŁYNARZ.

— Stało się. Ślubować będę wiarę i miłość, i uczciwość małżeńską dziewczynie młodej, dziecku prawie. Tak prędko się to stało, tak strasznie prędko. Cieszę się i boję jednocześnie. Bo czy to dla mnie te specjały, czy to nie będzie czasem tak, że dali mi chleba kiedy zębów niema. Taka dziewczyna, taka śliczna dziewczyna!... (Macha ręką) Et, słowo się rzekło, żonkę będę miał, co się zowie, apetyczną. Tylko tu coś dusi (pokazuje serce), jakby lęk i trwoga... (rozpiną kamizelkę). Możeć i prawdę rzekła Antoniowa, że w starym piecu dyabeł pali.

(Zapala fajeczkę i wpada w zadumę. Drzwi się uchylają i wsuwa się Basia. Jest blada, jakby znękana i bardzo zawstydzona tem, że przychodzi. Na twarz naciąga czerwoną chusteczkę, związaną ood szyją. Młynarz, spostrzegłszy ją, zrywa się przerażony).

MŁYNARZ.

— Basia tu? Co się stało?

*(Prsisz otwiera usta i chce coś powiedzieć, lecz nagle zakrywa twarz rękami i wybucha łkaniem).*MŁYNARZ *(serdecznie)*.— Basieczku, Basiu, co ci to, serce moje? *(podchodzi do dziewczyny i przyciąga ją do siebie za obie ręce).*BASIA *(przez łzy)*.

— Widzicie, panie młynarzu... ja do was o radę

MŁYNARZ *(niespokojny)*.

— Koń zakulał, czy krowa się wzdeła?

BASIA.

— Ani jedno, ani drugie.

MŁYNARZ *(spokojniej)*.

— Ciotce się co przytrafiło niedobrego?

BASIA.

— Nie, panie młynarzu. Ze też nie możecie zgadnąć...

MŁYNARZ.

— No, to powiedz mi sama, jagódko.

BASIA.

— Kiedy to tak rzec trudno... *(po chwili z od-
wagą)*. Panie młynarzu, nie dalej, jak w tłusty
czwartek odbyły się nasze zrzękowiny, a wesele
ma być po przewodach?MŁYNARZ *(z uśmiechem)*.— Jeżeli ci jagódko pilno, możemy wziąć ślub
za dyspensą na święty Józef.BASIA *(z okrzykiem)*.— Nie! *(składa ręce)* poczekajcie chwilę, pa-
nie młynarzu. Ja wam chcę rzec coś ważnego.

MŁYNARZ.

— To przysiadź krzyne na ławie.

BASIA *(siada na rogu ławy)*.

— Wiecie... ojcie moi chowali tego Andrzejką.

MŁYNARZ.

— Tego, co pomarł w wojsku? wiem.

BASIA *(z okrzykiem)*.

— Pomarł? skąd wy wiecie, że pomarł?!

MŁYNARZ.

— Mówiłaś sama, moja rybko.

BASIA *(cicho)*.— Ach, ja... Otóż widzicie, to mnie trapi
okrutnie. Andrzej żyje.MŁYNARZ *(obojętnie)*.

— To niech mu Bóg da zdrowie.

BASIA *(serdecznie i żywo)*.— O, dziękuję wam z duszy za dobre słowo.
(ciszej) Tylko, żyję ze straszną tęsknotą w sercu...
bo on mnie kocha.

MŁYNARZ (*popędliwie*).

— Nie dla psa kielbasa, nie dla parobasa—Basia.

BASIA (*nie zważając*).

— Widzicie, ten rubel, rzucony na czepiec, pali mnie, jak rozżarzony węgiel, poradźcie, co z nim zrobić, poradźcie, panie młynarzu!

MŁYNARZ.

— Rubla rzucił druciarz.

BASIA.

— Andrzej!

MŁYNARZ.

— To był on? Ja mu pokażę!

BASIA.

— Nic mu nie pokażecie, bo go niema. Ja chciałam mu oddać i rubla, i tę pamiątkę, którą mi dał, odchodząc do wojska, medalik, jedyną po matce spuściznę... ale go niema.

MŁYNARZ.

— To powieś duszko ten medalik w kościele. Serce swe uspokoisz.

BASIA (*stanowczo*).

— Nie! I to wam rzec chciałam, panie młynarzu, że, zanim Andrzejowi sama do rąk medalika nie oddam—żoną waszą być nie mogę.

MŁYNARZ.

— A niech cię parada, dziewczyno? Skąd ja i Andrzeja wytrzasnę, he?

BASIA.

— To już rzecz wasza. A teraz bywajcie zdrowi, ja muszę do domu.

MŁYNARZ.

— O, tak cię nie puszczę, perelko. Na żaden sposób nie. Przekąsić coś musisz, przepić ze mną, za pomyślność naszego stadła.

BASIA.

— Nie zatrzymujcie mnie, panie młynarzu, ja muszę do chaty. Gdyby kto wiedział, że ja u was...

MŁYNARZ.

— Alboś ty nie moja? (*chce ją objąć*).

BASIA (*z góry*).

— Jeszcze nie jestem wasza. Jeszcześmy nie po ślubie. Ręce przy sobie, panie młynarzu, bardzo proszę.

MŁYNARZ.

— Co to za dziewczyna! A wiesz ty, rybenko, że ja przed chwilą trząsł się ze strachu, jak osina, że mam się z tobą żenić. (*śmiejąc się*) A toć jaśniej w izbie, odkąd ty do niej weszłaś. Oj, życie nasze będzie rozkoszne, zobaczysz!

BASIA.

— Idę już. Żegnajcie.

MŁYNARZ (*blagalnie*).

— Jedną chwilę jeszcze zostań.

*(Słysząc czyjeś kroki przy drzwiach, Basia prze-
rażona szuka oczyma, gdzie się schronić, młynarz
idzie ku drzwiom).*

MŁYNARZ.

— Nie bój się, moja miła, nie puszczę nikogo.
*(Lecz drzwi otwierają się na oścież i wchodzi
Andrzej i Stanisław).*

BASIA *(z okrzykiem)*.

— Boże! *(kryje twarz w ręce)*.

ANDRZEJ *(z okrzykiem)*.

— Tegom się nie spodziewał po niej.

STANISŁAW *(do młynarza)*.

— Darujcie, panie młynarzu, że na małą chwilę
oderwiemy waści od miłych zatrudnień.

MŁYNARZ *(zmieszany nadrabia minę)*.

— He?

STANISŁAW *(zimno)*.

— Darujcie, żeśmy weszli bez pytania, jako
kawalerowie do kawalera wchodzić zwykli, prze-
praszamy, żeśmy przeszkodzili.

MŁYNARZ *(j. w)*.

— Przeszkadzać sobie nie pozwolę. Ale mo-
gę was wysłuchać, pod warunkiem, aby wasz in-
teres w paru słowach się zakończył.

(Basia chce wyjść, młynarz ją zatrzymuje).

— Nie odchódź dziecko. Jesteś w swojej chacie.

ANDRZEJ *(ostro do Basi)*.

— Nie odchódź, nasz interes przy tobie łac-
niej się zakończy.

BASIA *(struchlała)*.

— Ja muszę do domu...

ANDRZEJ *(groźnie)*.

-- Zostaniesz! *(Basia usuwa się na stronę)*
Interes mój krótki. Ktom jest, pewno wiecie, panie
młynarzu, ale mogę wam to jeszcze przypomnieć.
Jestem podrzutek bez nazwiska. Nie przychodzę
się upominać o kawał Mateuszowej ziemi, choć
krwawom pracował na niej, nie przychodzę upo-
minąć się o serce kochanej kiedyś dziewczyny,
bo mojej dziewczyny już niema, ta, co ostala, chce
być najbogatszą we wsi gospodynią, a wstydzi
się mego pochodzenia i nazwiska. Bóg z nią. Przy-
chodzę do was jeno *(twardo, a jednocześnie z bó-
lem głębokim)* po drobiazg, który dla was niema
wartości, a dla mnie jest skarbem. Dałem dziew-
czynie na zakład wierności mały srebrny medalik,
jedyną puszczynę po ojcach moich nieznanych! Ża-
dam dziś zwrotu tego drobiazgu, zanim nazawsze
ze stron tych odejdę. *(Mówi do młynarza, nie pa-
trząc na Basię)*.

MŁYNARZ *(rozgniewany na Andrzeja do Basi)*.

— Oddaj mu, dziecko, ten medalik i niech so-
bie idzie, gdzie go oczy poniosą!

BASIA (*składając ręce*).

— Andrzej!'

ANDRZEJ (*twardo*).

— Andrzej umarł dla ciebie. Ja żądam własności mojej matki. Nic więcej.

BASIA (*j. w.*).

— Andrzej, nie odbieraj mi tego medalika.

ANDRZEJ (*z rozpaczą*).

— Ha, może go nie masz, możeś zgubiła jedyny znak, że miałem kiedyś matkę?

BASIA.

Nie zgubiłam go, nie, Jędrus. Nie rozstałam się z nim na jedną chwilę. Umrzećbym z nim chciała. Zostaw mi go. (*patrzy błagalnie*).

ANDRZEJ (*l. w.*).

— Mówiłem — nie!

MŁYNARZ.

— A co się tam kramarzysz — Basiu! Oddaj mu, oddaj ten skarb, dziewczyno. Ja ci kupię złoty! A jeżeli chcesz zaraz medalika, to ci nawet swój oddam (*zdejmuje z szyi medalik*). Patrz, ten taki ładny, srebrny i te znaki... takich u nas nie kupi. Przywiozłem go kiedyś aż z Krakowa. Dwa takie były. Jeden dziewczynie dałem, drugi dla mnie ostał na wieczną pamiątkę. Bo i litery wyryć kazałem na jednym i na drugim. O patrz!

BASIA (*spogląda na niego — ze zdumieniem*).

— Ten medalik...

ANDRZEJ (*wpada między nich i wyrywa młynarzowi medalik*).

— Mój medalik w twoich rękach plugawych! Moja świętość! Zabiję za tę zniewagę! (*podnosi rękę do ciosu*).

BASIA (*chwytając go za rękę*).

— Andrzej! co ty robisz? Uspokój się! To nie twój medalik! Twój jest u mnie. Zaraz ci go dam. (*Jedną ręką sciąga z szyi medalik na łańcuszku*). O patrz. Ten jest twój medalik! (*przyciska medalik do ust*) Oddaje cię skarbie małeńki, com cię na piersi lat tyle nosiła. Może zmiekczyś serce mego brata.

ANDRZEJ (*zdumiony patrzy na medalik młynarza*).

— Przecie to mój!

BASIA.

— Nie, ten twój. (*z trwogą*) Co to znaczy, ten taki sam!

MŁYNARZ (*patrząc na medalik Andrzeja*).

— Medalik Małgosi!... Medalik, który ja dałem Małgosi... B. M. wyryte... Bartosz Małgosi to znaczy... Boże (*chwieje się na nogach*).

STANISŁAW (*stojący dotąd na uboczu, podbiega, podtrzymuje go i sadza na ławie*).

— Uspokójcie się! Zastanówcie się, co robicie!

MŁYNARZ (*pódnosi oczy na Andrzeja*).

— Czy to nie Małgosia na mnie z za grobu spogląda? Oczy jej, te same chmurne oczy... prze-
paściste oczy! Że ja dotąd tego nie widziałem.

ANDRZEJ (*do młynarza groźnie*).

— Co znaczy ten medalik?

MŁYNARZ.

— Dałem go dziewczynie, mojej narzeczonej.

ANDRZEJ (*i. w.*).

— Mojej matce?

MŁYNARZ.

— Małgorzacie Ostaszewskiej. Czy to była twoja matka?

ANDRZEJ (*gorzko*).

— O nazwisko mojej matki pytasz mnie, pod-
rzutka? Ty mi mów o niej, niech poznam z two-
ich słów, czy to ta, która mi dała życie. Mów!
(*groźnie*) Mów żywo!

STANISŁAW (*do Andrzeja*).

— Jędreku, uspokój się. Tak się nigdy nie
dogadacie.

(*Obejmuje go, Andrzej opiera mu głowę na
ramieniu*).

ANDRZEJ

— Och, jak mnie serce boli! (*do młynarza*)
Mów prędzej!

MŁYNARZ (*jakby nagle postarzały, głosem ci-
chym i głębokim*).

— Hej!... była to historia jakich wiele. Ko-
chało się dwoje młodych i jak zwykle ślubować
sobie chcieli wiarę małżeńską. Ale rodziny nasze
znać się nie chciały. Małgosia była szlachcianka—
ja chłop. Ojciec jej zapowiedział, że ją zabije, je-
żeli wyjdzie za chłopca... (*z westchnieniem*) Hej, co
nam znaczyły stany, co znaczyły przeszkody. Je-
dnaka młoda krew płynęła nam w żyłach, jedna-
kie serca biły młotem w piersiach. Ślubowaliśmy
sobie wiarę i kochali się jak mąż i żona. Zamiast
ślubnych pierścionków, których nie mogliśmy no-
sić, nosiliśmy na piersiach małe srebrne medaliki.
Kiedyś przyrzekaliśmy sobie stopić je na obrączki.
Ślubu nam nie chciał dać żaden ksiądz bez pozwo-
lenia rodziców, nie mieliśmy jeszcze lat... Aż tu
mnie biorą do wojska, dziewczyna miała zostać
matką... Zakląłem ją na miłość naszą, aby uciekła
do miasta, oddałem na chorobę, wszystko, co mia-
łem przy duszy, przysiągłem, że, gdy wrócę, po-
bierzemy się i uczciwie chować będziemy dziecko
nasze...

ANDRZEJ (*wyrywa się z rąk Stanisława*).

— Puść! (*staje przed młynarzem*) I ty — mój

ojciec, pozwoliłeś na hańbę mej matki, przysięgałeś jej krzywo, i tyś — ojciec, zniósł, aby twoje dziecko było nieszczęśliwe przez całe życie, przezywane od znajdów, podrzutków, bękartów, i tyś skradł mi jeszcze jedyny promyk szczęścia, jaki miałem — serce dziewczyny, podły starcze, krzywdą mojej matki pohańbiony! Bierz moje szczęście i pij krew mego serca, jak wypileś matczyne łzy. O Boże! Boże! *(płacze)*.

BASIA *(podbiega do niego)*.

— Jędrus! Andrzeju cicho! Bracie najmilszy, nie płacz! *(chwytając go za rękę)*.

ANDRZEJ *(wyrzuca rękę)*.

— Nie tykajcie mnie, pani młynarko.

BASIA.

— Ni młynarzową, ni czyją będę, jeno twoją, jeśli mnie zechcesz wziąć.

ANDRZEJ *(twardo)*.

— Nie wezmę! ja jestem tylko — niewiadomski.

BASIA.

— O bądź ty niczem dla ludzi, dla mnie jesteś światem!

ANDRZEJ *(twardo)*.

— Ale, choć ja podrzutek — nie sięgam po dziewczynę, spotkaną w chacie samożyjcy.

BASIA *(z okrzykiem)*.

— Jam tu przyszła dla ciebie!

ANDRZEJ *(zimno)*.

— Mocno dziękuję! Ale było inaczej: Ja tu ciebie zastałem.

MŁYNARZ *(cicho)*.

— Synul! przeklinasz mnie, zanim mnie poznałeś. Słuchaj więc do końca... Gdym wrócił z wojska, szukałem Małgosi, ale jej nie znalazłem na świecie. Ot czegom się tylko dowiedział. Małgosia poszła do Warszawy i tam umarła w szpitalu, urodziwszy dziecko. Paszportu nie miała, nazwiska swego nie powiedziała, dziecko oddali do podrzutków. Zapóźno opamiętali się ojce. Szukali napróżno wnuka. Szukałem, ja i pytałem, daremnie! Nikt nie wiedział nawet, jakie imię dała dziecku. *(ukrywa twarz w ręce, po chwili)* Nie ożeniłem się, sprzedałem teraz ojcowiznę, w Ameryce byłem, a wróciwszy przed paru laty do kraju, w tej wiosce młyn kupiłem. Zaledwie teraz pomyślałem o ożenku... Lecz dziś już nie chcę. Widzę, że ona kocha nie mnie, lecz ciebie, bierz ją!

ANDRZEJ.

— Niel W świat odchodzę! Nie chcę znać ni was, ni jej, życie społem, jakieście zamiarowali.

BASIA *(z płaczem)*.

— Ja z nikim żyć nie będę, umrę...

MŁYNARZ.

— Karzesz mnie, Panie, bez miary!

STANISŁAW *(do Andrzeja)*.

— Jędreku, oszalałeś? a toż padnij do nóg ojcu, bierz dziewczynę i bądź szczęśliwy! Co cię opętało? mów!

ANDRZEJ

-- Ja mam być szczęśliwy, gdy matka moja za mękę żywota nawet grobu własnego niema, we wspólnym, szpitalnym zakopana dole.

MŁYNARZ.

— O Boże, widzisz serce moje. Jestem w tem bez winy!

BASIA *(płacząc)*.

— A więc mi żegnaj Andrzejku! Karę przyjmuję, bom trochę na nią zasłużyła. Nie zobaczysz mnie więcej, nie mam po co żyć!.. Ale, zanim się rozstaniemy na wieki, wierz, że na sławie mojej niema cienia, żem tu o odwieczniku przybiegła, że mi serce stęsknione nie dało spokojności, bom o tobie mówić musiała. Weź swój medalik i pomyśl czasem, że cztery lata leżał na piersiach twojej nieszczęsnej Baśki. *(odchodzi ku drzwiom)*.

ANDRZEJ *(ku niej)*.

— Baśka!

BASIA *(słodko)*.

— Bywaj zdrów Andrzejku.

STANISŁAW *(do Andrzeja)*.

— Ratuj ją i siebie! Czyste szaleństwo!

BASIA *(od drzwi)*.

— Pomnij, że cię ojciec kochali. Przebacz...

ANDRZEJ *(biegnie do Basi i chwytą ją za ręce)*.

— Nie odchodź, jedyna! To ja jestem dłużny wobec ojców twoich, jeżeli mną nie pogardzisz, całym sercem ci duszę oddam!

BASIA *(cicho)*.

— Puść mnie Andrzejku. Nie tu moje miejsce.

ANDRZEJ *(gorąco)*.

— Nie tu, jedyna! nie tu! Pójdziemy w świat po dobrą dolę, po naszą!

MŁYNARZ *(powstaje ciężko z ławy)*.

— Synu mój, dlaczego i ty mnie krzywdzisz. Czyż mało cierpiałem?

BASIA *(zatrwożona)*.

— Panie młynarzu, darujcie... Ja nie mogę z wami...

MŁYNARZ.

— Niczego nie żądam od ciebie, dziewczyno, okrom dobrego słowa za mną do syna.

BASIA (*przymilnie*).

— Moje słowa nic nie znaczą, ale cię proszę, Andrzejku, spójrz na pana młynarza.

MŁYNARZ.

— Synu kochany, dlaczego stronisz od twojego ojca?

ANDRZEJ (*do młynarza*).

— Prawdę mówiłeś? Nie ty skrzywdziłeś matkę moją?

MŁYNARZ.

— Bogiem się świadczę!

ANDRZEJ (*obejmując mu nogi*).

— Ojczy, jakże pragnąłem mieć ojca! Biedna matko moja.

STANISŁAW.

— Nareszcie uspokoi się biedny Jędrak. Ale mnie trza w drogę. Ja wiem, że nie odnajdę ojca ani matki, bom ich odprowadził na piaszczysty cmentarz. (*głośno*) Takim rad, że was w szczęściu zostawiam. Bywajcie zdrowi.

MŁYNARZ, ANDRZEJ, BASIA.

— A gdzie to Pan Bóg prowadzi?

STANISŁAW.

— Trza ruszać, za chlebem!

ANDRZEJ.

— Co ty, Stachu? Żyliśmy razem w złej doli, opuszczasz mnie w dobrej? Wiem, że nie masz nikogo na świecie.

BASIA.

— Zostańcie z nami, chleba u nas nie brak, roboty są pełne ręce, znajdziecie tu pracę, a Andrzejowi milej będzie (*z uśmiechem*), gdy się będzie miał komu poskarżyć, jak mu zbyt bieda dokuczy.

MŁYNARZ.

— Roboty znajdziesz i u mnie. Sam sobie rady dać nie mogę. Zostawaj!

ANDRZEJ.

— Zostań bracie!

STANISŁAW (*rozczulony*).

— Dobrzy ludzie, z wami żyć nie umierać! zostanę!

(*Hałas za drzwiami, wbiega Antoniowa, opędzając się przebrańcom*).

ANTONIOWA.

— Poszli precz, poszli precz! Czego się czeplacie statecznej gospodyni?

DYABEŁ (*śpiewa*).

Kumusia, kumusia
z Łysej góry leciała

by się tu, by się tu,
z panem biesem spotkała (*pokazuje nasiebie*)

Chyżo więc, chyżo więc,
potańcujem w kółeczko.
Chodź że w tan, chodź że w tan,
moja śliczna kumeczko.

ANTONIOWA (*opędza mu się*).

— A kysz kusicielu, a kysz, wężu!

MŁYNARZ (*do Stanisława*).

— To zabawa nieprzystojna.

STANISŁAW.

— Pozwólcie im się zabawić, toż to zapusty.
Jutro popielec, prochem głowy posypią, niech
dziś pohasają.

ANDRZEJ i BASIA (*stojący na uboczu*).

— Niech ta pohasają, panie ojcz.

ANTONIOWA (*wyrywa się dyabłu; do młynarza,
nie widząc Basi*).

— Słyszycie młynarzu, Baśki nigdzie niemal
Bałamuci się pięknie wasza przyszła żonka, no
no! Jaki wstyd dla mnie i dla was. A niedocze
kanie! Chowalam, strzegłam, chesałam, strzygłam,
prałam, maglowałam (*śmiech*), żeby na porządną
kobietę wykierować, a na co się to zdało? Psu
na budę! Et, powiem wam prawdę, panie Bar-
tłomieju, ona za was to ino dla oka ludzkiego iść

chciała, aby nosa przed innemi zadzierać, jak ja
wieźć będziecie w dwa siwosze żółtą najtyczan-
ką do kościoła. Ale żeby przez serce to—nie! Jej
to jeno Andrzejek w głowie. A to ciągle listy
chciała pisać, a to pieniądze mu słać, a to men-
talik cynowy całować, a co chłopców, to odrzu-
cała jak zgniłe jaja, bo jej żaden do Andrzejka
nie dorósł.

ANDRZEJ (*cicho do Basi*).

— Prawda-ć to, jedyna?

BASIA. (*J. p. z uśmiechem*).

— Słyszysz przecie, ciotka mówi.

MŁYNARZ (*spojrzawszy z uśmiechem na młodych*).

— A no to, kochana pani Antoniowa, śpasa
jej zrobimy! Kiedyć ona taki latawiec, niech se
Jędrzeja patrzy, a ja stateczniejszej poszukam go-
spodyni.

ANTONIOWA.

— A niech se Baśka szuka wiatru w polu,
kiedy szczęścia nie umiała uszanować. Na wodzie
pisane Andrzejowe przysięgi. Racya oczywista,
że wam taka dziewczucha — pędziwiatr nie pasuje.
Hale! Człek stateczny i możny, pytel młyński wy-
starczy, nie trza go sprowadzać do domu, nie!
A wio bieda do Malużyna¹⁾! Ja się tam, co prawda,

¹⁾ przysłowie ludowe z Ciechanowskiego.

setnie wam dziwowałam, żeście wykalkulowali tak kiepsko ten ożenek, ale co mi tam do tego. Wasza wola, wasze wesele. Jak se pościecie, tak się wyśpicie. Jakiego sobie piwa nawarzą, takie będziecie pić. A nie będzie wam lubować, to wam, a nie mnie. Co?

MŁYNARZ (*rozweselony*).

— Więc stoi już, pani Antoniowa, że nie mnie brać Baśkę, że ja mam się za lepszą oglądać?

ANTONIOWA (*mizdrząc się*).

— Nie szukajcież zbyt daleko, panie młynarzu. Nie oglądajcie się zbyt długo, panie Bartłomieju.

MŁYNARZ (*udaje frasunek*).

— I ja tak myślę, moja kochana kumo. Ale w tem sęk, co z Baśką zrobić? Rzucić mi jej nie wypada, choćbym i rad może uderzyć w koper-czaki do innej. Radźcie sami, pani Antoniowa, bo mi głowa więdnie od myślenia, co zrobić z Baśką.

ANTONIOWA

— A niech se idzie, gdzie pieprz rośnie.

MŁYNARZ (*podstępnie*).

— Choćby do Andrzeja?

ANTONIOWA.

— A niechby tam i do Andrzeja.

MŁYNARZ (*z udanym niedowierzaniem*).

— Nie przeszkadzalibyście jej.

ANTONIOWA (*żywo*).

— A gdzieby zaś!

MŁYNARZ.

— Słowo!

ANTONIOWA.

— Najświętsze.

MŁYNARZ.

— No to dajcie rękę na zgodę.

ANTONIOWA (*ochotnie*).

— Nawet dwie.

MŁYNARZ.

— Wystarczy i jedna. (*Bierze ją za rękę*).
A Stach niech przetnie.

STACH (*przecina*).

— Już się nie cofniecie, pani ciotko (*uderza po rękach*). Targ przybity.

MŁYNARZ (*wola*).

— Andrzej, Barbaro, wola ciotki jest, byście się poženili. Zaś wy tę wolę macie?

ANDRZEJ i BASIA (*wesoło*).

— Oczywiście, mamy.

ANTONIOWA (*przerażona*).

— Wszelki duch Pana Boga chwali.

ANDRZEJ i BASIA.

— I my chwalimy go także, ciotulu.

ANTONIOWA (*j. w.*).

— Co to, nieboszczyk Basię trzyma za ręce?

MŁYNARZ.

— Taki on nieboszczyk, jak i my z panią Antoniową. Podziękujcie no, dzieci, ciotce.

ANDRZEJ i BASIA.

— Dziękujemy z serca ciotuchnie.

ANTONIOWA.

— A słowo się stało ciałem! (*Trze czóło*) Nie nie rozumiem...

MŁYNARZ.

-- Zrozumiecie niebawem, gdy was na wesele syna zaproszę.

ANTONIOWA.

— Andrzej wasz syn? Co wy mówicie?

MŁYNARZ.

— Opowiem to wszystko pani Andrzejowej. (*do przebrańców*) A skocz no który za próg. Dziewczęta przez szyby zaglądają, zgonić mi je do chaty. (*Usuwa się na bok rozmawiając z Antoniową. Ruch, przebrańcy wybiegają, po chwili z piskiem wciągają dziewczęta. Dyabeł zaczyna rzępolić na skrzypczkach tupiąc do taktu. Chór śpiewa po każdej zwrotce raz w koło tańcząc oberka.*)

Dziś, dziś, dziś, dziś zapusty,
dziś ostatni wtorek tłusty,
Chwytaj pączek na widelec,
bo to jutro już popielec.

Hop sa sa!

Dziś, dziś, dziś, dziś ostatki,
zbieraj, panno, swe manatki,
Gdy-ć u ojców zastaniemy,
jutro klocek ci przypniemy!

Hop sa, sa!

Tańcowałaś snąć ospale,
nie wzięli cię w karnawale,
Nie wezmą i na przewody,
pilnuj ojców wciąż zagrody,

Hop sa, sa!

STANISŁAW (*śpiewa*).

Oj szczęśliwa to godzina —
dzisiaj znalazł młynarz syna,
Oj niezwykle dzisiaj gody,
w młynie miele młynarz młody.

Przywędrował on z daleka,
lecz na niego ojciec czeka
czeka, czeka i dziewczyna,
Jak zorzeńka, jak kalina!

Wedle młyna mała praca,
woda koło mu obraca.
Stary ojciec zboże miele,
— niech ta młody ma wesele,

Niech ta młody się ucieszy,
niech ta młody się nie spieszy,
gdy spokojnie płyną wody
niech ta dobra zazna młody!

Nikto w młynie nie poleży,
dziś chleb stary, jutro świeży,
zboże się na mąkę miele
na kołacz, na wesele.

(do przebrańców)

Wytańcujcie się dziś srodze,
na dwóch czy na jednej nodze,
poczęstunek też znajdzie się,
przecie bierze Jędrak Basię!

(Chór powtarza ostatnie dwa wiersze każdej strofki).

MŁYNARZ *(do Stacha)*.

— Doskonałeś zaśpiewał zuch. Hej! poczęstunek dziś się znajdzie, a i wesele za pasem! Syn mój Andrzej, którego tu widzicie, bierze moją niedoszłą żonę, Basię! Myślę, że nic na tem nie straciecie, choć inny pan młody.

CHÓR.

My nic na tem nie stracimy,
a lepiej się zabawimy,
bo najlepsze takie gody,
kiedy młodą bierze młody!

DYABEŁ.

Ciotka się też wydać rada
za możnego, za sąsiada.
A swe chęci tak wyraża,
mizdrząc się wciąż do młynarza!

*(Pokazuje, jak się ciotka wdzięczy do młynarza.
Śmiech ogólny).*

ANTONIOWA.

Idź że, biesie, raz do czarta,
bo cię miotłą ochrzczi Marta.
Nie wtrącaj się, daje słowo,
że przetrzępię ciebie zdrowo!

ŻYDEK *(naśmiewając się z dyabła)*.

Nosił dzbanek sobie wodę
aż mu się zrobiło szkoda —
Bo się z uchem oderwało,
wszystkie wodę wykapało! *(śmiech)*.

CHÓR.

Jak zapusty, to zapusty,
dziś brzuch pełen, jutro pusty!
Więc poprośmy gospodarzy
niech kto jadła nam uwarzy.

ŻYDEK.

Będzie jadła pełna misa
dla przebrańców i dla bisa,
i dla cioci i dla dytka.
Lecz... czy będzie z czem dla żydka?

MŁYNARZ (do Stacha, Basi i Andrzeja).

— Ruszajcie do komory, tam się coś na głodny żąb znajdzie! Żywo! *(Oni wychodzą i wnoszą po chwili wianki kielbas, flaszki z piwem i miodem, chleby i kładą na stole. Stach przynosi żydowi ogromną cebulę.)*

ŻYDEK (zadowolony).

— Ny, ny! we młynie, nietylko się nażrą, takie jałoszki, co się zowią szwinie, nietylka się napiją gospodynie, napłacą gospodarze, zarobią arendarze, natanąją dziewczuchy, natopia w miodzie muchy, chłopcy się wezmą do bitki — ale się posilą, żydki! *(zajada cebulę przy ogólnym śmiechu.)*

ANTONIOWA (do siebie).

Choć jeszcze nic nie pojmuję,
ale się serce raduje
i coś się roić odważa
że... może złowię młynarza!

DYABEL (podśluchał).

A to ci jejmość uparta —
Wciąż jednego pragnie Marta!

(kramarzą się z sobą)

BASIA (do Andrzeja).

— Jędrus, serce moje, czy to sen, czy to jawa?

ANDRZE.

— Tak, kalino. Szczęście nas spotkało nieoczekiwane, strach, aby nie uleciało.

BASIA (przymilnie).

— Nie ulecił A gdyby chciało ulecieć, nie puścimy!

ANDRZEJ (z mocą).

— O, tak, nie puścimy!

ŻYDEK (do Andrzeja).

— Wy niedługo państwo młode usiądniecie na gospodarkę. Jak będzie bida przyjdźcie do żyda, on pieniędzy da...

STACH (przerywa).

— Za trzydziesty grosz na miesiąc?

ŻYDEK.

— Jakie trzydzieści procent? po co trzydzieści procent, ja wezmę mniej... tylko dwadzieścia dziewięć...

ANTONIOWA.

— Cie, jaki hojny, łupiskóra...

ZYDE.

— A jak będzie do sprzedania jakie zboże, jajki, masło, kury, kaczki, żydek kupi i dobrze zapłaci.

BASIA.

— Cie, minęły już te czasy... Zboże pójdzie do spółki zbożowej, jajka do mleczarskiej, wszystko się społecznie sprzedaje.

ZYDEK (*strapiony*).

— Na co spółki, po co spółki?

MŁYNARZ (*do Andrzeja i Basi*).

— Nie bójcie się o biedę. Poradźmy na to. Aby tylko zdrowie było i ochota do pracy, o resztę nie trzeba się frasować.

ANTONIOWA

— Racya, racya.

ANDRZEJ.

— Różne losy [mnie prześladowały, było się już na wozie i pod wozem, a nie dał się człek biedzie. Dał Bóg, i teraz] (*do Basi*) oboje tembardziej się nie damy!

BASIA.

— Nie damy się!

ANTONINWA (*do Młynarza*).

— Patrzajcie, jakie harne. Nie dziwota że tak Ignęli do siebie.

MŁYNARZ (*ujmując się pod boki*).

-- Nie tylko młodym na podufałości nie zbywa, toć i starszym się szczęście należy...

ANTONIOWA (*do siebie*).

— Młynarz już mój... Jak to on zmyślnie powiedział. (*do młynarza*) Macie rację i starszym się szczęście należy. Wszyscy się nie damy!

[STANISŁAW (*wyrzuca czapkę w górę*).

— Nie damy się!

(ZASŁONA).

(*Po chwili zasłona się odchyła i zebrani bez masek, a w barwnem kole wiejskiej młodziei śpiewają*).

Nie damy się, nie damy się,
zważpieniom, boś my tacy,
że w piersi nam, do życia wre
ochota i do pracy!

Nie damy się, nie damy się,
rozpaczy, zniechęceniu,
bo duch nasz chce, bo duch nasz chce,
rozpocząć czyn w natchnieniu.

Gra w żyłach krew, a serca dzwon,
rytmicznie młotem wali —
przezysty ton, potężny ton,
jak dźwięk hartownej stali.

Niech wyje wichr, niech wali grom,
zastanie nas na straży.

Bezpiecznie śpi rodzinny dom,
Złe podejść się nie waży.

Rodzinny dach spokojnie śpi,
Liść z wiatrem się kolebie,
Coś w borach gra i echo drży...
Strzeżemy chato ciebie!

Nie damy cię, nie damy cię,
na świecie tym nikomu.
będziemy strzedz i w noc i w dnie,
węgla naszego domu.

Co zdarzy los, co niesie nam,
tajemna dziejów karta,
strażnicą jest rodzinnych bram,
młodzieży fala zwarta.

Ciechanów w Styczniu 1913 roku.

Kilka uwag o teatrze amatorskim.

Bardzo pocieszającym objawem jest coraz częstsze urządzenie po wsiach teatrów amatorskich. Ma to ogromne znaczenie zwłaszcza dla młodzieży, potrzebującej godziwych rozrywek. Obok orkiestry i chórów teatr spełnia ważne zadanie uszlachetniania młodzieży, rozwija w niej dążenie do życia bardziej podniosłego, a przytem niewątpliwie kształci. Trzeba tylko dążyć do tego, aby grający i widzowie w sztuce, granej na scenie, widzieli nie tylko rozrywkę, lecz ze sztuki wyciągali naukę. Przeważnie każda sztuka, pisana dla teatru, ma moralne znaczenie, przedstawia jakiś kęs życia, ośmiesza lub wytyka ludzkie wady i ułomności, wypowiada prawdy życiowe, słowem, jest dla widzów nauczycielką. Jeżeli tedy poważnie będziemy się na teatr zapatrywali, wyniesiemy stamtąd wiele dobrego.

Obecnie urządzenie teatrów po wsiach połączone jest z wieloma trudnościami. Jeżeli mamy obszerny dom ludowy, budowany już z celem dawania w nim przedstawień amatorskich, połowę trudności nam odchodzi. Lecz tam, gdzie takich urządzeń niema, trzeba szukać odpowiedniego pomieszczenia. Przedstawienia więc odbywają się w szopach strażackich, stodołach, śpichlerzach

lub obszerniejszych mieszkaniach. Zresztą, gdy wśród organizatorów teatru panuje zapal, przezwycięża on wiele przeszkód, a więc i miejsce odpowiednie do grania się znajdzie.

Najtrudniejszą rzeczą jest nauczenie się sztuki do gry. Nie dość bowiem nauczyć się roli na pamięć i w odpowiedniej chwili swoje powiedzieć, trzeba grać, to znaczy trzeba w słowach, ruchach, gestach dobrze udać typ, nakreślony przez autora sztuki. Aby każdy grający odpowiedni typ stworzył [na scenie, trzeba, aby ktoś mógł dać odpowiednie wskazówki. Musi być więc kierownik, zwany reżyserem. On role rozdaje, pokazuje, jak trzeba je grać, poprawia grających, na próbach pamięta o urządzeniu sceny, aby każdemu z grających odpowiednie miejsce na scenie wskazywać. Oczywiście, rola reżysera jest dość trudna, wymaga pewnego obycia [się z teatrem. Gdzie we wsi znajdzie się człowiek inteligentniejszy, który bywał w teatrze i ma pojęcie o organizowaniu teatrów amatorskich, tam łatwo wszystko pójdzie. Należy jednak sądzić, że w obrębie gminy lub parafii zawsze znajdzie się odpowiedni reżyser. W Galicyi, celem rozwoju teatrów amatorskich po wsiach, założono „Związek teatrów i chórów włościańskich“. Za pewną opłatą przyjeżdża do wsi, pragnącej urządzić przedstawienie, instruktor-reżyser, odbywa kilka prób z amatorami lub kogokolwiek z [miejscowych nauczy, jak sztukę prowadzić. U nas takiej organizacji jeszcze niema. To też powinniśmy dążyć do jej powstania, ułatwi to nam bardzo urządzanie przedstawień amatorskich.

Ważną rzeczą jest wybór sztuki do gry. W Zorzy już było drukowane kilka sztuk, odpowiednich do gry na scenach wiejskich, poza tem jest wiele innych. Streszczenia tych sztuk podaje „Drużyna“, dająca ma pomoc w wyborze sztuki, jej ocenzeniu i t. d.

Przedstawienia amatorskie można urządzić po uzyskaniu na to pozwolenia od naczelnika powiatu, (wzory podań rozsyła „Drużyna“.)

Gdy już wybraliśmy sztukę do gry, trzeba werbować grających. Wszyscy się przecie we wsi lub parafii znają, więc można z góry wiedzieć, kto jaką rolę odegra. Trzeba chętnych do gry w teatrze zebrać i sztukę całą im przeczytać. Po przeczytaniu wspólnie z reżyserem naradzić się nad tem, kto [weźmie jaką rolę. Gdy się ta sprawa ułoży, rozdaje się role przepisane dla każdego oddzielnie. Role trzeba umieć przepisać, boć każdemu grającemu nie cała sztuka jest potrzebna. Przepisuje się więc takie [sceny, w których się gra. A więc w „Zapustach“, na przykład, trzeba przepisać osobne role dla Młynarza, Antoniowej, Basi, Andrzeja i t. d. Dla przykładu pokażemy, jak rolę przepisać. Ot, choćby rolę Młynarza.

Najpierw wyszukamy, kiedy młynarz ma wejść na scenę. Wchodzi on po śpiewie Basi. Aby grający rolę młynarza wiedział, kiedy ma wejść, musi w roli przepisanej mieć ostatnie [słowa Basi. Piszemy więc:

BASIA.

...Ach! Ale i tego sobie powiedzieć nie można Dzieciństwo. (Wchodzi młynarz).

Sz.50936



001--050936-000

Z A P U S T Y.

MŁYNARZ.

Tłusty czwartek
Przyszedł Bartek.

BASIA.

— A pana młynarza co tu sprowadza?

MŁYNARZ.

— Interes.

BASIA.

— Ciotki niema, poszła do arendy.

MŁYNARZ (obojętnie).

— Zaczekam.

BASIA.

—A jak zdrowie pana młynarza?

Z tego urywku widzimy, że w całości, trzeba przepisać tylko rolę Młynarza, a z innych ról tylko ostatnie zdania osób, po których Młynarz ma mówić. Uwagi dawane w nawiasach, () trzeba również przepisywać, bowiem one ułatwiają grę.

Ról swoich wszyscy grający powinni się dobrze nauczyć, chociaż grającym zwykle podpowiada się z ukrycia. Gdy się wszyscy ról nauczą, próby odbywać łatwo, a wyzyskanie sztuki i dobrej wystawienie zależy od reżysera no i oczywiście od gorliwości i uwagi grających. Nie są to rzeczy trudne, przy dobrych chęciach można wszystko przezwyciężyć. A że gra daje amatorom dużo przyjemności, i pożytku widzimy te z listy czytelników Zorzy, Drużyny, biorących udział w przedstawieniach amatorskim.